

Belgrad - muzyczny czyściec i emocjonalny raj!

[Marcin Puławski](#) piątek, grudnia 01, 2017 Bałkany , [Belgrad](#) ,



Gregory Hutchinson (fot. Rita Pulavska)

Belgrad – niezwykle miasto i niezwykli ludzie. Ileż to najsprzeczniejszych sądów o tym miejscu krążyło? Ile razy Belgrad uchodził za najgorsze piekło i najpiękniejszy raj? Jednego czego możemy być dziś pewni to tego, że wszystko, co się tam działo, było burzliwe i twórcze, namiętne, fantastycznie barwne i czasami na swój sposób piękne. I może właśnie dlatego Belgrad od wieków tak fascynował Europę?

Abstrahując od wątków politycznych i skupiając się wyłącznie na aspektach kulturowych, o mieście tym opowiadać jest zdecydowanie łatwiej i jeśli nawet przybysz z Europy Zachodniej może w pewnych sytuacjach być tu nieco skonfundowany, to każdy Polak w Belgradzie zobaczy bratnią duszę. Podobny język, zwyczaje, przywary i szeroko pojęta obyczajowość gdzie najlepszą miarą szczęścia jest suto zastawiony stół z wyborną butelką tamtejszej rakiji.

Biesiadowanie ma oczywiście swoje walory, ale ma też i swoje granice. Kulturalna odłona nocnego życia w stolicy Serbii jest równie prowokująca do wyzbycia się wszelkich oporów przed zasmakowaniem czegoś bardziej ambitnego. Odbywający się tu już od 33 lat festiwal jazzowy, który w tym roku miał miejsce w dniach 26-30 października, to do tego doskonała okazja. I niech słowo „jazz” nikogo tu nie odstrasza, bo nie od dziś wiadomo, że wszelkie próby klasyfikacji w

muzyce coraz częściej mijają się z celem. Ograniczając się więc do tego najprostszego i najważniejszego podziału na muzykę dobrą i złą, piszący te słowa z całą odpowiedzialnością stwierdza, że muzyka tu jest wyłącznie dobra – tak dobra, że czasami nie ma kiedy spać (koncerty zaczynały się o 19.30, a kończyły około 2. nad ranem).

Całe wydarzenie rozpoczął serbski **Eyot** pod dowodzeniem Dejana Ilijića (fortepian) z gościnnym udziałem Pete'a Judge'a (trąbka) i Jake'a McMurchiego (saksofon) z brytyjskiej formacji Get The Blessing. *What a great noise* – krzyknął ktoś z publiczności! Faktycznie, hałas był to niezwykle efektowny, ale żeby mógł osiągnąć swój kulminacyjny moment, prowadziło do niego długie, nawet kilkuminutowe crescendo. Większość utworów, pochodzących głównie z najnowszej płyty „Innate”, to nieustannie rozwijające się perpetuum mobile z wysublimowaną dynamiką i ustaloną, czasami nawet hipnotyczną rytmiką.

Na więcej serbskich artystów trzeba było czekać, aż do ostatniego dnia festiwalu, na którym pojawiała się m.in. zjawiskowa **Sanja Marković** – kompozytorka, wokalistka i multiinstrumentalistka. Jej koncert był wielkim zaskoczeniem, bo marka tej artystki poza granicami swego kraju nie jest jeszcze znana. Obdarzona jest ona niezwykle głębokim, niskim i pięknie dźwięcznym głosem przywodzącym na myśl samą Cassandrę Wilson. Towarzyszył jej również rewelacyjny zespół, w którym wybijał się Maks Kotchetov (saksofon) oraz intrygujące grupowe partie wokalne, w stylistyce jazzowej należące niestety do rzadkości.

Z tego błęgiego nastroju wybił wszystkich serbsko-chorwacko-amerykański band – **Space Tigers** określający się również jako sofa-techno- jazz-surfers. Jak sama nazwa wskazuje muzyka wykraczała poza orbitę ogólnego mainstreamu, wprowadzając element artystycznej zawieruchy i niepokoju, która znalazła wielu zwolenników, a nawet wyznawców.



Donny McCaslin (fot. Rita Pulavska)

Główną siłą napędową całego festiwalu byli w tym roku saksofoniści, których po części uznać można za kreatorów największych emocji. Po części dlatego, że **Joshua Redman** i **Donny McCaslin**, którzy wystąpili w Savie Centar – kulturalnym i businessowym molochu pamiętającym

lata świetności dyktatora Tito – byli pozbawienie realnej możliwości ukazania swego artystycznego blasku. Przede wszystkim nie sprzyjała akustyka sali i jakaś unosząca się w powietrzu woń czasów minionych powstrzymująca publiczność przed żywym reagowaniem na to, co dzieje się na scenie. Szkoda zwłaszcza koncertu McCaslina, artysty niezwykle żywiołowego, którego śmiało możemy określić jako najlepszego obecnie saksofonistę rockowego. David Bowie na mógł się mylić, angażując go do swojej epickiej płyty „Blackstar”, z której usłyszeliśmy jedyny w swoim rodzaju utwór *Lazarus*. Niezatarte wrażenie mógłby już zrobić chociażby otwierający koncert *Shake Loose*, ale wszystkie dźwięki produkowane przez kwartet McCaslina odbijały się w tej ogromnej sali tylko echem, które akurat podczas tego koncertu było zjawiskiem jak najbardziej niepożądanym.



Joshua Redman (fot. Rita Pulavska)

Joshua Redman, artysta bardziej uświadczony w przekonaniu o swoim mistrzostwie gry na instrumencie, starał się jakby trochę mniej, natomiast publiczność – trochę bardziej. Jego akustyczne trio (Reuben Rogers –kontrabas, Gregory Hutchinson – perkusja) w zastanych warunkach brzmiało zaskakująco dobrze, aczkolwiek pomimo całego mnóstwa walorów artystycznych tego występu, wciąż czuć było dystans, jaki utrzymywał się pomiędzy muzykami, a publicznością. Redman grał wyśmienicie, imponował tonem, muzyczną erudycją i nieskazitelną techniką, każdy z utworów (*Second Date, Back from Burma, Blackwells Message* etc.) były jak skrupulatnie wyrzeźbione figurki ze szlachetnego kruszcu. Niestety pozostało wrażenie, że nie wszyscy byli zainteresowani, aby to kupić.

Tymczasem po drugiej stroni rzeki Sawy, w belgradzkim centrum kultury zwanym Dom Omladine, sytuacja przybrała zgoła odmienny obrót. Panujący tam nastrój w pełni oddawał temperament tamtejszej publiczności, z łatwością dało się wyczuć atmosferę jazzowego święta, która, co

najważniejsze, udzielała się również samym wykonawcom, czego najlepszym przykładem były koncerty kwartetów: Mariusa Neseta (Ivo Neame, Michael Janisch – kontrabas, Anton Eger – perkusja) oraz Emile'a Parisiena (Julien Touery – fortepian, Ivan Gelugne – kontrabas, Julien Loutelier – perkusja). To właśnie oni byli głównymi sprawcami iście emocjonalnego raju, który urzekł widownię w stosunkowo małej i niepozornej sali Amerikana.



Marius Neset (fot. Rita Pulavska)

Pochodzący z Norwegii **Marius Neset** to cudowne dziecko jazzu, którego gra oparta jest na rozsadzającym ładunku żywiołowości i skomasowanym bogactwie barw. Swoją bajeczną i jakże finezyjną technikę gry wykorzystuje do kreowania najbardziej zapętlonych formuł melodycznych, które poprzez intensywność wykonania po pewnym czasie tworzą swego rodzaju dźwiękowe plamy. Neset jest niezwykle konsekwentny w wypracowywaniu swego unikalnego stylu, który jest w zasadzie nie do podrobienia ze względu na trudności techniczne. Towarzyszący mu kwartet natomiast był nie tylko w stanie zadbać o proporcjonalny do jego umiejętności kontrapunkt, ale również skłonić go do jeszcze większego wysiłku, pobudzając tym samym nieograniczoną inwencję twórczą Norwega.

Siła kwartetu francuskiego kwartetu **Emile'a Parisiena** również pochodziła z gry zespołowej, a różnica w instrumentarium polegała jedynie na zamianie saksofonu tenorowego na sopranowy. Na tym podobieństwa się jednak kończą, bo jazzowa ekspresja przybrała podczas tego koncertu zupełnie inny wymiar. Zaczniemy od samej postawy scenicznej Parisiena, jego swoistego tańca w trakcie gry i tych jakże charakterystycznych wywijasów nogami. Niby rzecz drugorzędna, ale pomaga stworzyć mu własną markę, jest to atrakcyjne dla oka i czyni go łatwiejszym do zapamiętania. Pod względem muzycznym zaś, Parisien zabrał widownię do swej niepowtarzalnej krainy, gdzieś na granicy ujmującej awangardy – taka też istnieje – osobliwej kantyleny, fantazyjnej harmonii i swego osobliwego szaleństwa. Parisiena wybrano ostatnio we Francji jazzowym artystą roku i doprawdy nie powinno to być dla nikogo zaskoczeniem.



Marc Ribot (fot. Rita Pulavska)

Emocjonalnego pierwiastka nie mogło również zabraknąć podczas występu gitarzysty **Marca Ribota & Young Philadelphians** z towarzyszeniem tercetu smyczkowego. Amerykanie połączyli tu harmolodyczny punk-funk Ornette'a Colemana z tanecznym pulsem lat 70. zwanym też Philadelphia Soul, w skrócie Philly Soul. O bardziej karkołomne i ryzykowne połączenie trudno, ale jeśli przyrzeć się artystycznej osobowości lidera tego kolektywu – Marca Ribota – to chyba nie można mieć wątpliwości, że do stworzenia tej fuzji jest on wręcz predestynowany. Efektem była muzyka na wskroś taneczna, z silnym, ustalonym pulsem i tak charakterystycznym dla funku akcentem na raz. Jednak to, co wygrywał Ribot na gitarze, dalekie było od soulowej słodyczy. Jego partie oparte zrazu na rytmicznej pulsacji ustępowały dysonansowości, przeradzając się w hektyczną i chwilami niekontrolowaną dzikość. Swoją obecność zaznaczył również śpiewający perkusista Grant Calvin Weston, który nabuzowany niczym pięściarz przed walką o mistrzowskie pas, stworzył niezapomniane show (*Love Rollercoaster*).



Jakob Bro (fot. Rita Pulavska)

Do estetycznej ucztę zaprosił widzów inny z gitarzystów – **Jakob Bro**, który zaprezentował się wraz z Thomasem Morganem na kontrabasie oraz Joey Baronem na perkusji. Koncert był nadzwyczaj intymny, a poszczególne kompozycje oparte zostały na luźno rozwijających się liniach

melodycznych każdego z instrumentów, jeśli się dokładnie wsłuchać – nawet perkusji. Nie ma wątpliwości, że to obecnie jedno z najlepszych istniejących gitarowych trio, które swój kunszt buduje na subtelności i eteryczności muzycznego przekazu, tworząc prawdziwie kontemplacyjny nastrój.

Festiwal obfitował również w rewelacyjnych pianistów i choć ich marka nie jest jeszcze powszechnie znana, to umiejętnościami co najmniej już dorównują najsłynniejszym artystom tego instrumentu. **Nitai Hershkovits** z Izraela oraz Włoch **Giovanni Guidi** to „świeża krew” jazzowej pianistyki, którzy muzyczny kunszt szlifowali w zespołach swych słynnych rodaków – kontrabasisty Avishai Cohena i trębacza Enrico Ravy. Pierwszy z nich – Hershkovits – wystąpił z programem na fortepian solo, gdzie przedstawił serię błyskotliwych miniatur, w których imponował doskonałą biegłością techniczną, niezwykłym czuciem klawiatury jak i samą naturalnością gry. Jego inteligentny komentarz do wykonywanych utworów zdecydowanie ułatwił odbiór muzyki, aczkolwiek sam koncert był raczej zbyt krótki (mniej niż godzinę) i nazbyt spokojny, aby na dłużej zapisać się w pamięci.

Co innego Giovanni Guidi, który nie wahał się uaktywnić swój włoski temperament jak i cały arsenał swych nietuzinkowych zdolności. Towarzyszący mu zespół (Francesco Bearzatti – saksofon, Roberto Cecchetto – gitara, Joe Rehmer – kontrabas, Frederico Scettri – perkusja) dawał mu doskonałe wsparcie i na swój sposób „podpuszczał”, aby ten wspiął się na wyżyny sztuki wykonawczej. Guidi grał jak natchniony i to nie tylko rękoma, ale całym ciałem. Imponował indywidualnością i prawdziwie artystycznym namaszczeniem, pozostawiając po sobie niezapomniane wrażenie.



Giovanni Guidi (fot. Rita Pulavska)

Szwed **Jan Lundgren** zaprezentował jeszcze inny rodzaj jazzowej pianistyki. Jego program poświęcony był twórczości pioniera szwedzkiego jazzu – Jana Johanssona, pierwszego artysty, który połączył ten styl z muzyką tradycyjną Szwecji, jak również Rosji, Ukrainy i Węgier. Towarzyszył mu kwartet smyczkowy z Wiednia – z którego notabene tylko skrzypek był rodowitym Austriakiem – oraz **Mattias Svensson** na kontrabasie. Skład instrumentalny dawał więc bardzo szerokie pole do manewru, aczkolwiek lider dość zachowawczo i dosłownie potraktował twórczość swego pobratymca. Samo wykonanie było absolutnie perfekcyjne i starannie wypieszczone co do najmniejszego szczegółu. Pytanie tylko, czy aż nie zanadto?

Jakże pożądaný efekt zaskoczenia przyniósł natomiast koncert kwartetu niemieckiej perkusistki **Evy Klesse** prezentującej materiał z płyty „Obenland”. Wsłuchując się w jej grę, można było

odnieć wrażenie, że perkusistki grają zdecydowanie inaczej od mężczyzn. Przede wszystkim bardziej skupiają się na kolorystyce brzmienia niż sztywnym wybijaniu rytmu i dbaniu o popisowe solo. Element macho ustępuje tu miejsca nieustannym poszukiwaniu nowych barw, co w efekcie daje niezwykłą formę utworów, która prowadzi słuchacza poprzez najróżniejsze nastroje, chimeryczną dynamikę i piękne zabarwienie całości (*Klabautermann*).



Peter Evans (fot. Rita Pulavska)

Największą próbą dla słuchacza jest jednak muzyczna awangarda, pełniąca często rolę muzycznego czyścica. W Belgradzie misja ta przypadła portugalskiemu **Rodrigo Amado Motion Trio** oraz septetowi amerykańskiego trębacza **Petera Evansa**. Jeśli koncert tych pierwszych określić jako bardzo dobry i mieszczący się w granicach szeroko pojętej wolnej improwizacji, to w przypadku drugiego występu należy mówić o prawdziwej sensacji! Peter Evans, znany z bardzo wielu projektów, m. in. *Mostly Other People Do The Killing*, tym razem stworzył coś w stylu małej orkiestry kameralno-orientalnej z dodatkiem elektroniki i swoich wizjonerskich pomysłów. Całość brzmiała nieziemsko, nadzwyczaj oryginalnie i opierała się wszelkim klasyfikacjom. To zdecydowanie najbardziej interesujący obecnie koncept tego artysty, którego muzyczna wyobraźnia nie zna granic.

Tegoroczny festiwal odbył się bez wielkich gwiazd światowego jazzu, a skupił się na najbardziej odkrywczych obecnie artystach, którzy w większości lata największej świetności mają prawdopodobnie jeszcze przed sobą. Nie należy również zapominać, że „wielkie gwiazdy” światowego jazzu nie zawsze są w odpowiedniej formie, aby spełnić wszystkie artystyczne kryteria tego festiwalu. Herbie Hancock i Chick Corea nie od dziś dźwierzą status legendy jazzowego stylu, ale czy taki Giovanni Guidi nie jest obecnie pianistą bardziej od nich wartościowym? Czy nie gra on przypadkiem muzyki ciekawszej? W Belgradzie żaden artysta nie odcina kuponów od swego dorobku i to jest właśnie ta różnica, która czyni ten festiwal wyjątkowym. Występują Ci, dzięki którym muzyka jako najpiękniejsza ze sztuk ciągle się rozwija, rozszerza swoje granice i która wciąż jest w stanie wypełnić sale koncertowe publicznością młodego pokolenia. Taka, a nie inna postawa w programowaniu tego festiwalu ma jak największy sens i oby pozostało tak jak najdłużej.